

MALTAŃCZYK

Non omnis moriar

Horacy

LAGE LANDEN

I

Koniec wiosny w Dordrechcie był bardzo uroczy. Zimne i ciągłe wiatry znad morza Północnego nie były aż tak przeszywające chłodem jak jeszcze kilka tygodni wcześniej. Siła wiatru nie czyniła już żadnych szkód, tylko co najwyżej rozwiewała włosy przechodniów. Wiosną nieprzyjemny zapach zgnilizny znad kanałów nie atakował nozdrzy przechodniów. Inaczej było jesienią, kiedy to spadające z drzew pożółkłe liście, wpadając do wody, rozkładały się, wydając przy tym gorzki nieprzyjemny odór. Teraz kanały pokryte były pięknymi liliami pojawiającymi się w coraz to innych miejscach. Pobudzona do życia była nie tylko przyroda, lecz również miejska gawiedź, która tłumnie korzystała z pogody, niezmiernie się nią ciesząc. Gwar w ciągu całego roku nigdy nie opuszczał miasta, lecz różnił się swoim nasileniem. Zależny był od pory dnia, tygodnia i roku. Noc pozostaje względnie cicha oraz zimna. Niedzielny zaś spokój kontrastuje z codziennym zabieganiem.

Albert Cuyp, malarz urodzony w Dordrechcie, w XVII wieku wiernie odtworzył swoje miasto, które było jeszcze bardziej tłoczne i gwarne. Mimo to niebo i woda niewiele się zmieniły. Kontrastowały ze sobą, jednocześnie odbijając się w sobie. Granicę między nimi stanowiła miejska zabudowa, w której piętrzyła się ciężka i solidna wieża katedry ścigająca się ku niebu ze smukłą i strzelistą kopułą ratusza.

Miasto ze wszech stron otoczone było wodami. Wyglądało niczym wyspa w głębi łądu. Nie zawsze jednak tak było. Od północy okrążała go Stara Moza przechodząca na wschód w Merwede. Od południa zaś rozlewały się wody potopu, który nawiedził miasto w 1421 roku. Powódź św. Elżbiety zabiła wielu niczego niespodziewających się ludzi. Zostawiła po sobie zalew, który na kilkaset lat uczynił Dordrecht enklawą obwarowaną fosą.

Jedna z postaci w miejskim tłumie była szybsza od innych. Kobieta ubrana w czarną długą spódnicę trzymała ją delikatnie w górze, aby uniknąć zarówno jej pobrudzenia, jak i możliwego upadku. Była za pan brat z drogą, którą biegła, omijając każdą napotkaną osobę. Jeśli kogoś znała, pozdrawiała w pośpiechu, nie zwalniając tempa. Dotarła do celu tylko delikatnie zdyszana. Otworzyła drzwi do swojego domu, który ściśnięty był pomiędzy dwoma podobnymi. Zarówno mieszkanie po lewej, jak i prawej stronie było tej samej wysokości. Wszystkie zbudowane były z jasnoczerwonej cegły. Różniły się jedynie detalami.

– Doktor już idzie – oznajmiła domownikom.

Następnie skierowała się szybko do sypialni znajdującej się na piętrze, gdzie leżał młody chłopak cały zlany potem.

– Doktor już idzie, synku – powtórzyła swe słowa, tym razem czulej, ściskając w swych dłoniach rozgrzaną dłoń swego pierworodnego.

Choć na lekarza musieli czekać jeszcze dłuższą chwilę, nikt z domowników nie już nie powiedział. Wyczekiwali go w ciszy, którą przerwało skrzypienie drzwi oznajmujące przybycie ich wybawiciela. Doktor głośno strzepał uliczny bród z butów, zdjął długi czarny płaszcz, który Jakub zaraz wziął mu z rąk, aby pozbawić go kłopotu znalezienia mu odpowiedniego miejsca. Wszyscy starali się, jak mogli, przyśpieszyć procedurę leczenia, jednocześnie nie będąc zbyt nachalnymi.

Czternastoletnia Joanna, siostra chorego, gdy tylko usłyszała prośbę medyka o miskę z ciepłą wodą, nie potrzebowała ani chwili, aby zastanowić się, skąd wziąć odpowiedni ekwipunek. Zręcznie podskoczyła po wydawałoby się gotowe naczynie i w mgnieniu oka napełniła je wrzątkiem, dolewając nieco zimnej wody, aby miała ona odpowiednią temperaturę.

Doktor, dobrze zaznajomiony z przypadkiem chorego, również nie marnował czasu. Usiadł przy łóżku Jana, na przygotowanym mu wcześniej drewnianym niskim taborecie. Namoczył w przyniesionej mu ciepłej wodzie szmatkę i położył ją na czoło pacjenta. Następnie spojrzał spokojnie na młodego człowieka ze wzrokiem pełnym miłosierdzia i współczucia.

– Mogę mu tylko upuścić krew – powiedział, wzdychając i wzruszając z niemocy ramionami.

– Proszę zrobić choć tyle – odpowiedział Jakub de Witt bez wahania.

Medykowi nie trzeba było powtarzać dwukrotnie. Ze swej niewielkiej walizki wyjął brzytwę oraz poprosił o inną, pustą tym razem miskę. Sam zaś wyciągnął spod kołdry spoconą rękę Jana.

Wystarczyło jedno wprawne cięcie i krew już kapiała, wypełniając puste naczynie powoli i monotonnie. Nie pozwolono jednak czerwonej substancji długo cieszyć się wolnością. Przygotowany uprzednio bandaż zakrył bowiem ranę, tamując jednocześnie dalszy jej wpływ.

– Jest już wystarczająco wyniszczony chorobą, aby można było pozwolić na większy wpływ – wyjaśnił lekarz.

Jan leżał już spokojniej. Grymas bólu i cierpienia zniknął z jego twarzy. Chwilowy spokój organizmu pozwolił mu oddać się w objęcia Morfeusza.

– Dajmy mu odpocząć – rzekł medyk, opuszczając pokój.

Wraz za nim ruszyli wszyscy domownicy.

– Proszę zjeść z nami obiad, dobrodzieju – poprosił Jakub, gdy tylko zamknęły się drzwi.

– Z przyjemnością – odrzekł medyk.

Tak się złożyło, iż tego dnia jeszcze nie miał okazji zaspokoić głodu. Nie narzekał dziś na brak pracy. Nie zawsze tak jednak było. Z samych medycznych zajęć nie byłby w stanie wyżywić siebie i licznej rodziny. Oprócz więc upuszczania krwi, przepisywania różnych ziół, przyjmowania porodów zarówno ludzi, jak i zwierząt, był na co dzień golibrodą. I choć nikt nie mógł mu zarzucić braku profesjonalizmu, nieczęsto odwiedzano jego zakład. Okolicznych mieszkańców strzygły i goliły żony, kawalerowie zaś, którzy byli żeglarzami

zazwyczaj zdążyli o siebie zadbać w pobliskim Rotterdamie, gdzie nie brakowało równych mu albo i lepszych golibrodów. Wcale nie droższych.

Obiad był iście królewski. Rodzina de Wittów spodziewała się wizyty lekarza, choć niekoniecznie dziś. Odkąd Jan zachorował nigdy nie było wiadomo, kiedy rozpocznie się nowy atak. Dlatego też z matczyną pieczołowitością Kornelia starała się mieć zawsze gotowe pyszne potrawy z dwóch powodów. Pierwszym z nich był jej syn, który potrzebował teraz dużo siły, a drugim medyk – którego matka Jana zawsze starała się dobrze ugościć. Zapach orientalnych przypraw dodawał aromatu i smaku fasolce, krojonym pomidorom, a nader wszystko pieczonej baraninie. Gość był tym zachwycony i wcale tego nie krył.

– Już dawno nie jadłem tak wysmienitej strawy – podziękował z niewymuszoną szczerością.

– Przyjemnie to słyszeć – rzekła Kornelia, która, choć zawsze łąsa była na pochlebstwa, szczególnie dotyczącej jej talentów kulinarnych, odpowiedziała tym razem bez radości w głosie, gdyż nie potrafiła jej w tej chwili nawet udawać.

– Jan ma silny organizm – przeszedł od razu do rzeczy medyk, marszcząc brwi. – Niewielu wytrzymałoby tak długo z tak intensywną i długą gorączką. Trzeba być dobrej myśli.

– Cóż więcej możemy uczynić? – zapytał Jakub, jakby rozumiejąc, co chciałyby wiedzieć jego małżonka, lecz brakło jej siły, by o to zapytać.

– Już niewiele. Czekać i modlić się. Próbowaliśmy już wszystkiego... może poślijcie po medyka z Rotterdamu?

Ostatnie słowa wyrzekł niechętnie. Zdawał sobie sprawę z tego, jak jego wiedza i sposoby są ograniczone. Lecz wiedział też, że niewiele więcej od niego wiedzieli inni. Sam uczył się pilnie od ojca i jego przyjaciół. Bywał w Amsterdamie, Lubece, Kolonii i innych miastach hanzeatyckich. Widywał zarażonych dżumą i chromych, porażonych gorączką, która albo czyniła ciało zimnym niczym lód, albo gorącym jak piec hutniczy. Widział mnóstwo kobiet umierających przy porodzie lub zaraz po nim. Jakże trudno było ratować wyniszczonych chorobą. Do samego końca nie wiadano, czy dany sposób im pomoże. Nawet upuszczanie krwi, choć przynosiło pewną ulgę i chwilową poprawę pacjenta, często kończyło się niespodziewaną, lecz spokojną śmiercią. Ileż to razy osoba poddana temu zabiegowi po prostu nie budziła się już rankiem. Lecz cóż można było robić, gdy wszystko inne zawodziło. Jakże wielka często była jego bezradność, o której wszakże nie mówił ani nawet nie okazywał. Widział oczy chorych i ich rodzin, które prosiły go o pomoc. I wówczas przychodził taki moment jak w tej chwili. Nie poddawajcie się, szukajcie nadziei, chciał rzec, lecz nie u mnie. Rozkładał ręce, jednocześnie wskazując na drogę, jaką należało podążać.

Sam zdziwił się, że to wyrzekł. Nie mniej zaskoczeni byli jego słuchacze. Zapadła cisza. Została z nimi na bardzo długo. Na długo po opuszczeniu rodziny de Witt przez medyka. Bezdźwięczne łzy towarzyszyły pechowemu domostwu.

